

◆ JOE HILL ◆



ALBATROS

Tytuł oryginału:
HEART-SHAPED BOX

Copyright © Joe Hill 2007
All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Paulina Braiter 2007

Redaktor prowadząca: Marzena Wasilewska

Ilustracje na okładce, projekt graficzny okładki i projekt wyklejek: Dark Crayon

Przygotowanie okładki do druku: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

JUDE MIAŁ PRYWATNĄ KOLEKCJĘ.

Na ścianie studia, pomiędzy platynowymi płytami, wisiały oprawione w ramki szkice Siedmiu Krasnoludków. Narysował je John Wayne Gacy, już w więzieniu, i wysłał Jude'owi. Gacy lubił klasycznego Disneya niemal tak bardzo jak molestowanie dzieci; niemal tak bardzo jak albumy Jude'a.

Jude miał w swoich zbiorach czaszkę chłopca, któremu w szesnastym wieku przeprowadzono trepanację, by wypuścić z głowy demony. W wybitym w kości otworze przechowywał długopisy.

Miał trzystuletnie wyznanie podpisane przez czarownicę. *Mówiłażem z czarnym piesem, któren rzecze, że struje dla mnie krowy, poda koniom szalej i ześle chorobę na dzieci, jeśli oddam mu swoją duszę. Ja na to, tak, potem zasię dałam mu ssać z własnej piersi.* Spalono ją na stosie.

Miał wytarty sztywny stryczek, na którym w Anglii na przełomie wieków powieszono skazańca, szachownicę, której używał w dzieciństwie Aleister Crowley, i film z gatunku snuff. Ze wszystkich przedmiotów w kolekcji ten ostatni, nagranie prawdziwego morderstwa, budził największy niepokój. Trafił do

Jude'a dzięki policjantowi dorabiającemu przy ochronie koncertów w LA. Gliniarz twierdził, że film jest chory. Powiedział to ze sporym entuzjazmem. Obejrząwszy go, Jude uznał, że gość miał rację. Film był chory i, w sposób pośredni, pomógł przyspieszyć koniec małżeństwa Jude'a. A jednak został w kolekcji.

Wiele eksponatów stanowiły prezenty od fanów. Jude rzadko coś kupował. Kiedy jednak Danny Wooten, jego osobisty asystent, powiedział mu, że w internecie można kupić ducha, i spytał, czy ma to zrobić, Jude nawet się nie zastanawiał. Zupełnie jakby wybrał się do knajpy, usłyszał, jaki jest specjal dnia, i zdecydował, że ma na niego ochotę, nie zaglądając nawet do karty. Niektóre odruchy nie wymagały zastanowienia.

Biuro Danny'ego znajdowało się we względnie nowej przybudówce, przytulonej do północno-wschodniego końca wielkiego, studziesięcioletniego domu na farmie. Wyposażone w klimatyzację, meble biurowe i kawową wykładzinę przemysłową, było chłodne i bezosobowe, zupełnie niepodobne do reszty domu. Gdyby nie plakaty koncertów oprawione w stalowe ramy, można by je wziąć za poczekalnię dentystyczną. Na jednym z plakatów widniał słoń pełen wpatrzonych w widza gałek ocznych, z których dyndały krwawe sploty nerwów. Reklamował trasę promocyjną *All Eyes On You*.

Gdy tylko ukończono budowę, Jude pożałował decyzji wzniesienia przybudówki. Nie miał ochoty jeździć czterdzieści pięć minut z Piecliff do wynajętego biura w Poughkeepsie, by pilnować bieżących spraw, ale chyba wolałby to niż obecność Danny'ego Wootena w domu. Tu bowiem Danny i jego praca były zbyt blisko. Krzątając się w kuchni, Jude słyszał dzwoniące telefony, czasami obie linie jednocześnie, i dźwięk ten doprowadzał go do szału. Od śmierci Jerome'a i Dizzy'ego (a

wraz z nimi zespołu) prawie nie pracował, lecz telefony nadal dzwoniły i dzwoniły. Dość już miał ludzi próbujących wyszarpać choć trochę jego czasu i dość nieustannego deszczu dokumentów prawniczych i zawodowych, próśb, umów i kontraktów, materiałów promocyjnych i propozycji występów, trafiających do firmy Judas Coyne Incorporated, której praca nigdy się nie kończyła, trwała cały czas. W domu chciał być sobą, nie znakiem handlowym.

Zazwyczaj Danny nie pojawiał się w pozostałej części domu. Owszem, miał swoje wady, ale potrafił uszanować prywatność pracodawcy. Kiedy jednak Jude zaglądał do jego biura, asystent natychmiast go zaczepiał – a Jude wpadał tam zwykle cztery, pięć razy dziennie, bo przez przybudówkę wiodła najkrótsza droga do stodoły i psów. Mógł wychodzić frontowymi drzwiami i okrążyć cały dom, nie zamierzał jednak skradać się po własnej posiadłości tylko po to, by uniknąć asystenta.

Poza tym nie wydawało się możliwe, by Danny zawsze miał pod ręką coś, czym mógłby zawrócić mu głowę. A jednak tak było. Nawet jeśli nie dysponował niczym, co wymagałoby natychmiastowej uwagi, i tak chciał rozmawiać. Pochodził z południa Kalifornii i gadał bez przerwy. Zupełnie obcym ludziom zachwalał zalety specjalnej odmiany perzu, na przykład taką, że po zjedzeniu go puszczało się wiatry o zapachu świeżo skoszonego trawnika. Miał trzydzieści lat, lecz potrafił dyskutować z dostawcą pizzy o jeździe na desce i grach na playstation niczym czternastolatek. Był gotów zwierzać się robotnikom naprawiającym klimatyzację, opowiadać, jak jego nastoletnia siostra przedawkowała heroinę, a on jako młody człowiek znalazł zwłoki matki, która popełniła samobójstwo. Nie znał pojęcia wstydu. Nie wiedział, co to nieśmiałość.

Jude wracał właśnie po karmieniu Angus i Bon i w połowie pokonał już pole rażenia Danny'ego. Zaczynał sądzić, że uda mu się bez szwanku przejść przez biuro, kiedy asystent zawołał:

– Hej, szefie, zobacz to!

Danny niemal każdą odzywkę zaczynał w ten sposób i Jude już dawno zniecierpliwił te słowa. Czekał na nie z lękiem, stanowiły bowiem preludium do półgodzinnej straty czasu na wypełnianie formularzy i przeglądanie faksów. Jednak Danny poinformował go, że ktoś sprzedaje ducha, i Jude zapomniał o swojej niechęci. Obszedł biurko, by spojrzeć na monitor ponad ramieniem asystenta.

Danny odkrył ducha w sieciowym serwisie aukcyjnym, nie na eBayu, lecz jednym z konkurentów. Jude powędrował wzrokiem do opisu przedmiotu, tymczasem Danny czytał głośno. Gdyby Jude dał tylko szansę, asystent pokroiłby mu nawet jedzenie. Miał w sobie skłonność do służalczości, którą Jude uważał za coś obrzydliwego u mężczyzny.

– *Kup ducha mojego ojczyma – czytał Danny. – Sześć tygodni temu mój starszy już ojczym nagle zmarł. Mieszkał wtedy u nas. Nie miał własnego domu, podróżował od krewnych do krewnych, zostawał miesiąc czy dwa i znów ruszał w drogę. Jego odejście wstrząsnęło wszystkimi, zwłaszcza moją córką, której był bardzo bliski. Nikt niczego nie podejrzewał. Był aktywny do samego końca. Nigdy nie siedział przed telewizorem. Co dzień wypijał szklankę soku pomarańczowego. Miał wszystkie zęby.*

– To jakiś pierdzielony żart – mruknął Jude.

– Nie przypuszczam – odparł Danny i czytał dalej: – *Dwa dni po pogrzebie moja córeczka go zobaczyła. Siedział w pokoju gościnnym naprzeciwko jej sypialni. Potem nie chciała już zostawać sama w swoim pokoju ani nawet wchodzić na górę.*

Powiedziałam jej, że dziadek by jej nie skrzywdził, ale odparła, że boi się jego oczu. Mówiła, że są zamazane na czarno i nie służą już do patrzenia. Od tej pory sypia ze mną.

Z początku sądziłam, że to tylko straszna historia, którą sobie wmówiła, ale kryje się w tym coś więcej. W pokoju gościnnym cały czas jest zimno. Zajrzałam tu i ówdzie i stwierdziłam, że najgorzej jest w szafie, w której wisi jego odświętny garnitur. Ojczym chciał zostać w nim pochowany, kiedy jednak przymierzyliśmy go w zakładzie pogrzebowym, nie wyglądał dobrze. Ludzie po śmierci odrobinę się kurczą, woda w ich ciałach wysycha. Najlepszy garnitur był na niego za duży, pozwoliliśmy więc, by zakład pogrzebowy wcisnął nam jeden ze swoich. Nie wiem, czemu ich posłuchałam.

Parę dni temu obudziłam się w nocy i usłyszałam nad głową kroki. Coś porusza pościel na łóżku w pokoju ojczyma, a drzwi otwierają się i trzaskają o najróżniejszych porach. Kotka nie chce pójść na górę. Czasami siedzi na dole przy schodach, obserwując coś, czego ja nie widzę. Patrzy na to jakiś czas, a potem miauczy rozdzierająco, jakby ktoś nadepnął jej na ogon, i ucieka.

Ojczym całe życie zajmował się spirytyzmem i pewnie został po to, by nauczyć moją córkę, że śmierć to jeszcze nie koniec. Ona jednak ma dopiero jedenaście lat, musi żyć normalnie, spać we własnym łóżku, nie w moim. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to spróbować znaleźć tacie inny dom. A na świecie nie brakuje ludzi, którzy pragną uwierzyć w życie po śmierci. Bardzo proszę, dowód mam tutaj. Sprzedam ducha mojego ojczyma temu, kto zaproponuje najwięcej. Oczywiście tak naprawdę duszy nie da się sprzedać, wierzę jednak, że jeśli zechcesz go przyjmąć, przybędzie do twego domu i zamieszka z tobą. Jak mówiłam, w chwili śmierci mieszkał u nas tymczasowo, nie miał własnego domu.

Zapewne pójdzie tam, gdzie zostanie mile przyjęty. Nie sądz, że to oszustwo czy dowcip, że wezmę twoje pieniądze i nie wyślę ci niczego. Zwycięzca otrzyma także coś namacalnego. Przyślę ci jego odświętny garnitur. Wierzę, że jeśli duch ojczyzna jest z czymkolwiek związany, to właśnie z tym ubraniem.

To bardzo ładny, staroświecki garnitur, uszyty przez Great Western Tailoring, w drobne srebrne prążki, bla, bla, satynowa podszewka, bla, bla. – Danny przestał czytać i wskazał palcem ekran. – Zobacz wymiary, szefie. Jak na ciebie. Najwyższa oferta to osiemdziesiąt dolców. Jeśli chciałbyś kupić ducha, wygląda na to, że możesz go dostać za stówę.

– Kupmy go – odparł Jude.

– Poważnie? Zalicytować sto dolarów?

Jude zmrużył oczy. Tuż pod opisem przedmiotu zobaczył przycisk z napisem *Może być twój: \$1000*, a niżej: *Kliknij, by kupić i natychmiast zakończyć aukcję*. Postukał palcem w ekran.

– Dajmy tysiąc i załatwmy sprawę.

Danny obrócił się na krześle, uśmiechnął i uniośł brwi. Miał wysokie, wygięte brwi jak Jack Nicholson i potrafił znakomicie ich używać. Może oczekiwał wyjaśnienia, lecz Jude nie miał pewności, czy potrafiłby wytłumaczyć nawet samemu sobie, czemu uznał za stosowne zapłacić tysiąc dolarów za stary garnitur, pewnie niewart jednej piątej tej sumy. Później pomyślał, że to mogłaby być dobra reklama: *Judas Coyne kupuje poltergeista*. Fani uwielbiali podobne historie. Ale to było później. Wtedy, w tamtym momencie, wiedział tylko, że chce być tym, kto kupił ducha.

Ruszył do drzwi. Zamierzał wejść na górę i sprawdzić, czy Georgia już się ubrała. Pół godziny temu powiedział, by coś na siebie włożyła, przypuszczał jednak, że nadal leży w łóżku. Miał

przecucie, że zamierza tam zostać, póki nie doczeka się kłótni, na którą miała ochotę. Będzie siedziała w bieliźnie, starannie malując czarnym lakierem paznokcie u nóg. Albo może otworzy laptopa i zacznie surfować po sklepach z gotyckimi akcesoriami w poszukiwaniu idealnego ćwieka do języka, jakby i tak nie miała już dosyć, do cholery... I nagle na myśl o surfowaniu po sieci Jude zatrzymał się, bo coś przyszło mu do głowy. Obejrzał się na Danny'ego.

– Skąd w ogóle się o tym dowiedziałeś? – Skinieniem głowy wskazał komputer.

– Dostaliśmy maila.

– Od kogo?

– Z tej strony. Przysłali nam typowego maila: *Zauważyliśmy, że kupowałaś wcześniej podobne przedmioty, i pomyśleliśmy, że to cię może zainteresować.*

– Kupowaliśmy wcześniej podobne przedmioty?

– Pewnie coś okultystycznego.

– Nigdy w życiu nie kupiłem niczego z tej strony.

– Może kupiłeś i nie pamiętasz? Może ja kupiłem coś dla ciebie?

– Pieprzony kwas – mruknął Jude. – Kiedyś miałem dobrą pamięć. W liceum należałem nawet do kółka szachowego.

– Poważnie? To dopiero wizja.

– Co? To, że mógłbym należeć do kółka szachowego?

– Chyba tak. To takie... grzecznutki.

– Tak, ale zamiast figur używałem obciętych palców.

Danny roześmiał się – nieco zbyt głośno, zginając się wpół i ocierając z kącików oczu nieistniejące łzy. Co za przymilny wazeliniarz.

2

GARNITUR DOSTARCZONO W SOBOTE, wczesnym rankiem. Jude był właśnie na dworze z psami.

Angus skoczył, gdy tylko furgonetka UPS zatrzymała się przed domem. Wyrwał Jude'owi z ręki smycz i rzucił się na zaparkowany samochód; bryzgał śliną i wściekle drapał drzwi od strony kierowcy. Kierowca pozostał w wozie, przyglądając się wielkiemu owczarkowi niemieckiemu ze spokojną czujnością lekarza badającego pod mikroskopem nowy szczep eboli. Jude złapał koniec smyczy i szarpnął mocniej, niż zamierzał. Pies poleciał na bok, przekręcił się i natychmiast zerwał z ziemi, warcząc. Do zabawy włączyła się Bon, naciągając smycz, którą Jude trzymał w drugiej ręce, i ujadając tak przenikliwie, że rozboleła go głowa.

Uznawszy, że do stodoły i do ich kojca jest za daleko, Jude, cały czas walcząc z dwoma rozjuszonymi psami, zawlókł je przez podwórko na frontową werandę, wepchnął do domu i zatrzasnął drzwi. Psy natychmiast zaczęły rzucać się na nie, ujadając histerycznie. Drzwi dygotały przy każdym uderzeniu. Pieprzone kundle.

Wrócił na podjazd i dotarł do furgonetki UPS akurat w chwili, gdy tylne drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem. W środku stał kurier. Zeskoczył na ziemię, trzymając pod pachą długie, płaskie pudło.

– Ozzy Osbourne hoduje szpice pomeraniany – rzekł. – Widziałem je w telewizji, urocze pieski, potulne jak koty. Myślał pan kiedyś, żeby kupić sobie takie?

Jude bez słowa odebrał od niego pudło i wrócił do domu.

Zaniósł je aż do kuchni, położył na blacie i nalał sobie kawy. Z natury i wychowania należał do ludzi wczesnie wstających z łóżka. Kiedy był w trasie albo nagrywał, przywykł do kładzenia się o piątej nad ranem, lecz siedzenia po nocach nigdy nie lubił. W trasie budził się o czwartej po południu, wkurzony i skacowany, nie mając pojęcia, gdzie się podział czas. Wszysecy znajomi wydawali mu się sprytnymi oszustami, pozbawionymi uczuć obcymi w gumowych kombinezonach i maskach jego przyjaciół. Trzeba było sporej dawki alkoholu, by znów stali się sobą.

Tyle że od ostatniej trasy koncertowej minęły już trzy lata. W domu nie pociągało go picie i zazwyczaj o dziewiątej zaczynał już przysypiać. W wieku pięćdziesięciu czterech lat znów poddał się rytmowi, który kierował nim jeszcze w czasach, gdy nazywał się Justin Cowzynski i jako paroletni chłopiec mieszkał na świńskiej farmie. Gdyby wówczas spał jeszcze po wschodzie słońca, ojciec, sukinsyn i analfabeta, wywłókłby go z łóżka za włosy. To było dzieciństwo w błocie, wśród szczekających psów, drutu kolczastego, rozpadających się budynków gospodarskich, kwiczących świń o zadartych ryjach i łuszczącej się skórce. Ludzi prawie nie widywał – poza matką, większość czasu spędzającą przy kuchennym stole z obojętną, nieobecną miną kogoś poddanego lobotomii, oraz ojcem, który żelazną ręką i gniewnym

śmiechem rządził królestwem świńskiego łajna i ruin.

Jude wstał więc już kilka godzin wcześniej, ale nie jadł jeszcze śniadania i smażył właśnie bekon, gdy w kuchni zjawiła się Georgia. Miała na sobie jedynie czarne majteczki, ręce skrzyżowała na małych, białych piersiach z kolczykami. Jej czarne włosy tworzyły miękką, splątaną sieć wokół głowy. Tak naprawdę nie miała na imię Georgia ani Morfina, choć przez dwa lata rozbierała się pod tym pseudonimem. Nazywała się Marybeth Kimball, tak przyziemnie i banalnie, że zaśmiała się, po raz pierwszy podając mu swe prawdziwe nazwisko, jakby się go wstydziła.

Jude zaliczył wiele gotyckich panienek, które zarabiały na życie striptizem, przepowiadaniem przyszłości albo striptizem i przepowiadaniem przyszłości, ładnych dziewczyn noszących krzyże ankh i malujących paznokcie czarnym lakierem. Zawsze nazywał je od stanu, z którego pochodziły. Zazwyczaj nie przepadały za tym, bo nie lubiły, by przypominać im o osobie, którą starały się wymazać z powierzchni ziemi za pomocą makijażu żywych trupów. Miała dwadzieścia trzy lata.

– Cholerne, durne psy – mruknęła Georgia, odpychając jednego z nich na bok piętą. Oba kręciły się Jude'owi wokół nóg, podniecone zapachem bekonu. – Obudziły mnie, kurwa.

– Może już czas wstać, kurwa? Pomyślałaś o tym?

Jeśli mogła, nigdy nie wstawała przed dziesiątą.

Schyliła się i sięgnęła do lodówki po sok pomarańczowy. Jude patrzył z przyjemnością, jak paski bielizny wcinają się w niemal białe półkule pośladków, kiedy jednak zaczęła pić z kartonu, odwrócił wzrok. W dodatku zostawiła karton na blacie. Gdyby sam go nie schował, sok by się zepsuł.

Cieszyło go uwielbienie gotek. Jeszcze bardziej lubił

seks, ich wytatuowane, gibkie, umięśnione ciała i gotowość do wszelkich eksperymentów. Był jednak kiedyś żonaty z kobietą, która używała szklanki i sama wszystko chowała, a rano czytała gazetę, i tęsknił za rozmowami. To były rozmowy dorosłych. Nie zarabiała na życie striptizem. Nie wierzyła w przepowiadanie przyszłości. Ich związek był związkiem dorosłych ludzi.

Georgia nożem do steków rozcięła pudełko UPS, po czym odłożyła nóż na blat. Do ostrza przylepił się kawałek taśmy.

– Co to? – spytała.

W pierwszym pudle tkwiło drugie, mocno wciśnięte, i musiała przez chwilę ciągnąć, by je wydobyć. Było duże, błyszczące i czarne, miało kształt serca. W podobnych pudełkach sprzedawano czekoladki, choć to było stanowczo za duże. A poza tym producenci czekoladek woleli kolor różowy albo żółty. Zatem to pudełko z bielizną – tyle że nic takiego dla niej nie zamawiał. Uniósł brwi. Nie miał pojęcia, co może być w środku, a jednocześnie czuł, że pudełko w kształcie serca zawiera coś, czego się spodziewał.

– To dla mnie? – spytała.

Podniosła przykrywkę i wyjęła garnitur. Ktoś przysłał mu garnitur – czarny, staromodny, niewyraźny pod workiem z pralni chemicznej. Georgia trzymała go za ramiona, przed sobą, niemal jak sukienkę, którą zamierza kupić, lecz najpierw chce usłyszeć czyjąś opinię. Patrzyła pytająco, między jej brwiami zarysowała się uroczą zmarszczka. Przez moment Jude nie pamiętał, nie wiedział, co to za przesyłka.

Otworzył usta, by powiedzieć, że nie ma pojęcia, i nagle sobie przypomniał.

– Garnitur nieboszczyka.

– Słucham?

– Duch. Kupiłem ducha. Jakaś kobieta wierzy święcie, że jej dom nawiedza duch ojczyma. Wystawiła więc niespokojną duszę na sprzedaż w internecie, a ja kupiłem ją za tysiąc dolców. To garnitur tego ojczyma. Może być źródłem nawiedzenia.

– Super – rzuciła Georgia. – To co, będziesz go nosił?

Jude’a zaskoczyła własna reakcja. Wstrząsnął się, zdrętwiał, poczuł gęsią skórkę. W pierwszym, instynktownym, odruchu sam pomysł wydał mu się nieprzyzwoity.

– Nie – odparł, a ona spojrzała na niego zaskoczona. Uświadomił sobie, że w jego głosie brzmiał... no, nie strach, ale chwilowa słabość. – Nie pasowałby – dodał szybko, choć po prawdzie wyglądało na to, że poltergeist za życia był jego wzrostu i budowy.

– Może ja przymierzę? – zaproponowała Georgia. – Sama jestem niespokojnym duchem i wyglądam ekstra w męskich ciuchach.

I znów fala nagłego wstrętu, mrowienie skóry. Nie powinna go wkładać. Był poruszony do głębi jej pomysłem, choć nie miał pojęcia dlaczego. Nie pozwoli Georgii włożyć garnituru. W tej jednej sekundzie nie potrafił sobie wyobrazić niczego bardziej ohydneho.

A to już nie przelewki. Na świecie istniało mało rzeczy zbyt wstrętnych, by Jude brzydził się o nich myśleć. Nie przywykł do niesmaku. Nie przeszkadzały mu żadne profanacje – dzięki nim od trzydziestu lat całkiem nieźle zarabiał na życie.

– Zabiorę go na górę i zastanowię się, co z nim zrobić. – Starał się, by zabrzmiało to lekceważąco. Nie do końca mu się udało.

Georgia wpatrywała się w niego, zafascynowana nieoczekiwanym zachwianiem jego pewności siebie. Szybkiem

gestem ściągnęła worek z garnituru. Srebrne guziki rozbłyły w słońcu. Garnitur był ponury, czarny jak krucze pióra, lecz te guziki rozmiaru ćwierćdolarówek nadawały mu lekko rustykalny wygląd. Wystarczy dodać krawat bolo i Johnny Cash mógłby włożyć go na scenę.

Angus zaczął szczekać, wysoko, przenikliwie, panicznie. Przysiadł na tylnych łapach i podkulił ogon, cofając się, byle dalej od garnituru. Georgia wybuchnęła śmiechem.

– Faktycznie jest nawiedzony.

Uniosła go przed sobą i pomachała w przód i w tył, niczym matador muletą, w stronę psa. Zbliżając się, zajęczała gardłowo, przeciągle, jak zbłąkany upiór. Oczy jej błyszczały radośnie.

Angus odskoczył, uderzył w stołek stojący przy kuchennym blacie i wywrócił go z donośnym łoskotem. Bon wyjrzała spod zakrwawionej starej deski do krojenia. Uszy miała stulone ciasno przy głowie. Georgia znów się zaśmiała.

– Przestań, kurwa! – warknął Jude.

Posłała mu bezczelne, perwersyjnie rozradowane spojrzenie – spojrzenie dziecka przypalającego mrówki szkłem powiększającym – a potem skrzywiła się boleśnie, krzyknęła i klnąc, złapała się za prawą rękę. Odrzuciła garnitur na blat.

Na czubku kciuka wezbrała kropla krwi i kapnęła na wykładaną kafłami podłogę.

– Cholera – rzuciła Georgia. – Pieprzona szpilka.

– Trzeba się było słuchać.

Spojrzała na niego gniewnie, uniosła palec w obelżywym geście i wyszła. Kiedy zniknęła, Jude wstał i schował sok do lodówki. Potem wrzucił nóż do zlewu, sięgnął po ścierkę, żeby zetrzeć krew z podłogi... wtedy jego wzrok padł na garnitur i Jude zapomniał, co zamierzał zrobić.

Przyglądził go, złożył rękawy na piersi, pomacał starannie, lecz nie znalazł żadnej szpilki. Nie mógł zrozumieć, czym skaleczyła się Georgia. Delikatnie ułożył garnitur w pudełku.

Nagle nozdrza wypełniła mu gryząca woń. Spojrzał na patelnię i zaklął. Bekon się przypalił.

3

SCHOWAŁ PUDEŁKO GŁĘBOKO W szafie i postanowił więcej o nim nie myśleć.

4

PRZECHODZIŁ WŁAŚNIE PRZEZ KUCHNIĘ, parę minut przed szóstą, żeby wziąć kielbaski na grill, gdy usłyszał, jak ktoś szepcze w biurze Danny'ego.

Zamarł. Danny pojechał do domu ponad godzinę wcześniej. Biuro powinno być puste. Jude przechylił głowę, nasłuchując, skupiając się na cichym, syczącym głosie... po chwili zorientował się, co słyszy, i bijące gwałtownie serce zaczęło zwalniać.

W środku nie było nikogo, gadało radio. Niskie tony nie były dość niskie, głos wydawał się odrobinę spłaszczony. Dźwięki mogą sugerować kształty, kreślić obraz kieszeni powietrznej, w której powstają. Głos w studni ma głębokie, krągłe echo, głos w szafie wydaje się ściśnięty, pozbawiony pełni. Muzyka to także geometria. Teraz Jude słyszał głos wciśnięty do pudełka. Otworzył drzwi biura i zajrzał do środka. Światło się nie paliło, słońce świeciło z drugiej strony budynku i całe pomieszczenie nurzało się w niebieskim cieniu. Wieża w biurze – zestaw Onkyo w szklanej szafce obok baniaka z wodą – była trzecią i najgorszą w całym domu, ale i tak lepszą niż większość amatorskiego sprzętu. Wyświetlacze płonęły jaskrawą, nienaturalną zielenią

koloru przedmiotów oglądanych przez noktowizor. Wyjątek stanowiła samotna, lśniąca, czerwona pionowa kreska, rubinowy znacznik częstotliwości, na którą nastrojono odbiornik. Wąska szczelina kształtu kociej źrenicy zdawała się obserwować biuro z niewzruszoną, obcą fascynacją.

„Jak zimno ma być jutro? – spytał mężczyzna w radiu niskim, niemal szorstkim głosem. Sądząc z poświstywania towarzyszącego jego oddechom, miał sporą nadwagę. – Czy musimy się martwić tym, że rano znajdziemy włóczęgów poprzymarzanych do ziemi?”

„Twoja troska o los bezdomnych niezwykle mnie wzrusza” – odparł drugi mężczyzna nieco zbyt wysokim, piskliwym głosem.

To była stacja WFUM, puszczająca zespoły o nazwach śmiertelnych chorób (Anthrax) bądź stadiów rozkładu (Rancid), w której didżeje uwielbiali zajmować się tematami takimi jak wszy łonowe, striptizerki i zabawne upokorzenia spotykające ludzi biednych, kalekich i starszych. Praktycznie bez przerwy puszczali muzykę Jude’a i dlatego Danny nastawiał radio na ich stację, w akcie lojalności i pochlebstwa. Zapewne nie miał żadnych wyraźnych upodobań muzycznych, sympatii bądź antypatii, i radio stanowiło dla niego jedynie szum w tle, dźwiękowy odpowiednik tapety. Gdyby pracował dla Enyi, z radością nuciłby do wtóru celtyckich zaśpiewów, odpowiadając na jej maile i wysyłając faksy.

Jude ruszył naprzód, by wyłączyć radio, lecz po paru krokach zamarł, bo naszło go nowe wspomnienie. Godzinę wcześniej wyprowadzał psy. Stał na skraju żwirowego podjazdu, napawając się ostrością powietrza, ukłuciem chłodu na policzkach i słabą wonią gryzącego dymu. Ktoś z sąsiadów palił stos chwastów i jesiennych liści.

Danny wyszedł właśnie z biura i narzucił kurtkę. Wybierał się do domu. Przez chwilę stali i rozmawiali – czy też, ściślej mówiąc, Danny kłapał jadaczką, a Jude obserwował psy, próbując się wyłączyć. Cały Danny Wooten, jak zawsze gotów zakłócić doskonałą ciszę.

Ciszę. W biurze Danny’ego panowała cisza. Jude pamiętała krakanie gawronów i strumień pogodnych słów wylewających się z ust Danny’ego, ale nie było dźwięku z radia. Z pewnością by usłyszał. Uszy nadal dobrze mu służyły. Wbrew logice przetrwały wszystko, na co je narażał przez trzydzieści lat. Jedyne poza nim żyjący członek pierwotnego składu zespołu, Kenny Morlix, perkusista, cierpiał na nieustanne szумы w uszach, tak głośne, że nie słyszał nawet własnej żony, gdy krzyczała mu prosto w twarz.

Jude znowu ruszył naprzód, lecz wcześniejszy niepokój powrócił. Nie wzbudziła go jedna rzecz, tylko ogólna sytuacja: mrok panujący w biurze i ognistoczerwone oko, świadomość, że godzinę temu, gdy Danny stał w otwartych drzwiach, zapinając kurtkę, radio nie było włączone, myśl, że ktoś niedawno znalazł się w biurze i może wciąż jest w pobliżu, obserwuje go z mroku łazienki, której drzwi zawsze pozostawały uchylone – paranoiczny pomysł zupełnie niepodobny do niego, lecz wciąż niedający mu spokoju. Jude sięgnął do wyłącznika radia. Tak naprawdę już nie słuchał – wpatrywał się w drzwi, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby zaczęły się otwierać.

„Zimny i suchy front przesuwa się na południe – powiedział spiker. – Martwi ściągają żywych w dół. W dół i w chłód. Do dziury, w dół. Umrz...”

Jude zgasił radio i zaraz znowu je włączył, by znów usłyszeć ten głos, domyślić się, o co chodziło spikerowi czytającemu prognozę pogody.

Tyle że on już skończył i do mikrofonu powrócił didżej.

– ...odmrozi nam tyłki, ale Kurt Cobain grzeje się w piekle.

Jazda.

Zajęczała gitara, wydając z siebie długi, drżący, piskliwy dźwięk, który ciągnął się i ciągnął, pozbawiony wyraźnej melodii czy celu, prócz może jednego: doprowadzić słuchaczy do obłądu. Początek *I Hate Myself and I Want to Die* Nirvany. Czy o tym mówił spiker? Wspominał coś o śmierci. Jude raz jeszcze pstryknął wyłącznikiem i w pokoju zapanowała cisza.

Nie trwała długo. Tuż za jego plecami zabrzączał telefon. Jude'owi tętno znów gwałtownie podskoczyło. Spojrzał na biurko Danny'ego, zastanawiając się, kto może dzwonić na linię biurową o tej porze. Okrążył blat, żeby sprawdzić numer. Zaczynał się od 985, a więc wschodnia Luizjana. Towarzyszyło mu nazwisko: COWZYNSKI, M.

Nie musiał podnosić słuchawki, by wiedzieć, że tak naprawdę to nie Cowzynski, M. do niego dzwoni. No, chyba że wydarzył się medyczny cud. Miał nie odbierać, nagle jednak przyszło mu do głowy, że może to Arlene Wade dzwoni z informacją, że Martin umarł. A w takim razie i tak będzie z nią musiał porozmawiać, wcześniej czy później, czy tego chce, czy nie.

– Halo?

– Witaj, Justin. – Arlene była jego ciotką, żoną wuja, szwagierką jego matki i licencjonowaną asystentką medyczną, choć przez ostatnich trzynaście miesięcy miała tylko jednego pacjenta: ojca Jude'a. Skończyła już sześćdziesiąt dziewięć lat i mówiła żałującym się, jęklwym głosem. Dla niej na zawsze miał pozostać Justinem Cowzynskim.

– Jak się miewasz, Arlene?

– Tak samo jak zawsze. I ja, i pies jakoś ciągniemy. Choć on

prawie już nie wstaje, jest za gruby i boli go kręgosłup. Ale nie dzwonię, żeby rozmawiać o mnie i o psie. Dzwonię w sprawie twojego ojca.

Jakby mógł istnieć inny powód. W słuchawce zaszumiało. Kiedyś Jude udzielał telefonicznego wywiadu gwiazdzie radiowej z Pekinu i odbierał telefony od Briana Johnsona z Australii. Połączenie zawsze było czyste i wyraźne, jakby dzwonił z drugiej strony ulicy. Nie wiadomo czemu telefony z Moore's Corner w Luizjanie brzmiały słabo i niewyraźnie, jak daleka stacja nadająca na długich falach. Głosy z innych rozmów przedostawały się na linię, ledwie słyszalne przez chwilę, po czym rozplływały się pośród szumów. Owszem, w Baton Rouge mieli już szerokopasmowe łącza internetowe, lecz w małych miasteczkach na bagnach na północ od jeziora Pontchartrain, jeśli ktoś chciał się łączyć siecią z resztą świata, musiał naprawić samochód i wynieść się stamtąd do diabła.

– Przez ostatnich kilka miesięcy karmiłam go łyżeczką, miękkimi potrawami, których nie musiał gryźć. Bardzo lubił makaron gwiazdki, pastinę. I budyń waniliowy. Nigdy nie spotkałam umierającego, który na odchodnym nie przepadałby za budyniem.

– Dziwne, nigdy nie lubił słodczy. Jesteś pewna?

– Kto się nim opiekuje?

– Ty.

– W takim razie owszem, jestem pewna.

– W porządku.

– Dlatego dzwonię. Nie chce już jeść budyniu ani gwiazdek, ani niczego innego. Kiedy wkładam mu coś do ust, po prostu się dławi. Nie może połykać. Wczoraj zbadał go doktor Newland. Sądzi, że twój tato miał kolejny atak.

– Udar. – To nie było pytanie.

– Nie z rodzaju tych, które powalają człowieka. Gdyby do tego doszło, już by nie żył. To był jeden z tych mniejszych. Nie zawsze widać, kiedy się zdarzają, zwłaszcza gdy pacjent osiągnie taki stan jak on. Po prostu patrzy. Od dwóch miesięcy nie odezwał się do nikogo ani słowem i nigdy już nic nie powie.

– Jest w szpitalu?

– Nie, tutaj możemy zająć się nim równie dobrze, jeśli nie lepiej. Ja z nim mieszkam, a doktor Newland przychodzi codziennie. Ale możemy posłać go do szpitala. Tak będzie taniej, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

– Nie ma. Zostawmy szpitalne łóżka dla ludzi, którzy mogą jeszcze wyzdrowieć.

– Nie będę się spierać. Zbyt wielu ludzi umiera w szpitalach.

– Co w takim razie zamierzasz zrobić z tym niejedzeniem?

Długo milczała, zupełnie jakby pytanie ją zaskoczyło. Kiedy się odezwała, mówiła tonem łagodnie rozsądnym i przepraszającym, jak kobieta wyjaśniająca dziecku bolesną prawdę.

– No cóż, to zależy od ciebie, nie ode mnie, Justin. Doktor Newland może wprowadzić mu sondę i tato pożyje jeszcze jakiś czas, jeśli tego chcesz. Do następnego ataku, kiedy na przykład zapomni, jak się oddycha. Albo możemy po prostu pozwolić mu odejść. Nigdy już nie wyzdrowieje. Ma osiemdziesiąt pięć lat. Jest gotów. A ty?

Jude pomyślał, że jest gotów od ponad czterdziestu lat, ale tego nie powiedział. Od czasu do czasu wyobrażał sobie tę chwilę, słusznie byłoby stwierdzić, że nawet o niej marzył – lecz teraz, kiedy nadeszła, ze zdumieniem odkrył, że boli go brzuch.

– W porządku, Arlene. Żadnej sondy. Skoro mówisz, że już

czas, to mi wystarczy. Informuj mnie, dobrze?

Ale ona jeszcze nie skończyła. Parsknęła niecierpliwie, głośno wypuszczając powietrze.

– Przyjedziesz? – spytała.

Nadal stał przy biurku Danny’ego. Uniósł brwi zaskoczony. Rozmowa bez ostrzeżenia przeskoczyła na zupełnie inny temat, niczym igła gramofonu z jednej ścieżki na drugą.

– Niby po co?

– Nie chcesz go zobaczyć, nim odejdzie?

Nie. Od trzech dziesięcioleci nie widział ojca, nie przebywał z nim w tym samym pomieszczeniu. Nie chciał widzieć starego przed śmiercią. Ani po niej. Nie zamierzał brać udziału w pogrzebie, choć to on za niego zapłaci. Bał się tego, co mógłby poczuć... albo czego by nie poczuł. Zapłaci tyle, ile trzeba, byle nigdy więcej nie spotkać się z ojcem. Oto najlepsza rzecz, jaką może kupić za pieniądze: odległość.

Nie mógł jednak powiedzieć tego Arlene Wade, tak samo jak nie mógł przyznać, że czeka na śmierć starego, odkąd skończył czternaście lat.

– Czy w ogóle by wiedział, że tam jestem?

– Trudno stwierdzić. Jest świadomy obecności ludzi w jego pokoju, porusza oczami, wodzi za nimi wzrokiem. Ostatnio jednak słabiej reaguje. Tak to już bywa u chorych, u których powoli przepalają się obwody.

– Nie dam rady dotrzeć, ten tydzień nie jest najlepszy. – Jude sięgnął po najłatwiejsze kłamstwo. Uznał, że rozmowa dobiegła końca, i już miał powiedzieć „Do widzenia”, kiedy, zaskakując samego siebie, zadał pytanie. Sam nie wiedział, że o tym myśli, dopóki nie wypowiedział tego głośno. – Czy będzie ciężko?

– Mu umrzeć? Nie. Kiedy stary człowiek osiąga ten etap, bez

podłączenia do sondy umiera bardzo szybko. Wcale nie cierpi.

– Jesteś pewna?

– A czemu pytasz? – spytała. – Zawiedziony?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).